

Macierz Polska.

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

No. 3.

Chicago, Ill., Czwartek, 17-go Stycznia, 1907.

Rok VIII.



W LESIE.

Historya Kościoła w obrazach.

ŚW. AGNIESZKA.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 24 lutego 303 roku wydany został w Nikomedyi pierwszy edykt przeciw Chrześcijanom. Prześladowanie zostało urzędowo ogłoszone. W edyktie tym Dyoklecyan rozkazuje zburzyć i z ziemią zrównać wszystkie Kościoły chrześcijańskie, odebrać im i spalić pismo św., zaś tych wszystkich, którzy się będą upierali przy wierze św. pozbawić ich godności obywatelskiej, a osobom prywatnym nakazuje odebrać wolność, a niewolników pozbawić prawa do wolności. Rozpoczęło się prześladowanie. Już dzień przed ogłoszeniem edyktu, motłoch pogański, gdy posłyszał, że edykt zostanie wydany przeciw chrześcijanom, w samej Nikomedyi, pod boki Dyoklecjana, rzucił się na kościół i wspinały ten przybytek zburzył i zrównał z ziemią.

W tym czasie w pałacu cesarza powstał z nie wiadomej przyczyny pożar. Oskarżono o to chrześcijan, którzy przez to mieli się jakoby zemścić za edykt; a ponieważ współcześnie z ogłoszeniem edyktu wybuchło powstanie w zwojowanych krajach Syrii i Armenii, więc prześladowcy oskarżyli chrześcijan, im przypisali pożar w pałacu, i wywołanie powstania. Chrześcijan ogłoszono jako zbrodniarzy, podpalaczy i wrogów państwa. Więżono ich gromadnie i skażowano na męki.

Po pierwszym edyktie niebawem Dyoklecyan wydaje drugi, ostrzejszy od poprzedniego. W nowym edyktie nakazuje uwięzić wszystkich duchownych i przełożonych kościołów, jeżeliby nie chcieli składać ofiary bogom pogańskim.

Gdy pierwszy i drugi edykt nie wywołały pożądanego skutku, Dyoklecyan, podburzony przez złych swoich doradców i zauszników, wydaje zaraz po drugim trzeci edykt ostrzejszy i okrutniejszy niż poprzednie dwa pierwsze.

Dotąd Chrześcijanie, będący na dworze cesarskim względnie cieszyli się spokojem, ale po trzecim edyktie wydano rozkaz, aby wszyscy Chrześcijanie, będący na dworze, wyrzekli się swej wiary i złożyli ofiary bogom pogańskim. Dwie małżonki obydwóch cesarów Pryska i Walerya nie miały dosyć stałości i siły, aby przenieść prześladowanie za wiarę św. Obie też, gdy im zagrożono mękami, zaparły się wiary. Karę za odstępstwo poniosły już tu na ziemi. Oskarżone o knowania przeciw małżonkom, zostały wygnane przez nich i na wygnaniu nędznie zakończyły swój żywot.

Prześladowanie srożyło się w najokrutniejszy sposób. Wiele zniewieściałych chrześcijan odstąpiło od wiary i zaparło się Chrystusa, lecz tych w

stosunku do męczenników było bardzo mało. Owszem przy odstępstwie pierwszych męczeńska korona i bohaterstwo drugich tem jaśniej odbija. Upór jak nazywali poganie, a my powiemy stałość we wierze, jeszcze więcej podżęgała prześladowców. Dwóch urzędników dworskich, Doroteusza i Gorgoniusza, którzy woleli śmierć, niż zaparcie i odstępstwo od wiary, Dyoklecyan kazał udusić.

Petrusa najprzód ubiczowano, a potem pieczono na wolnym ogniu; innych ścinano, palono na stosach lub topiono. Szczególniej prześladowanie zwracane było przeciw kapłanom i biskupom. Żądano od nich, jak nakazywał edykt, wydania ksiąg św., które niszczone. Lecz temu właśnie sprzeciwiali się duchowni i wielu za to śmierć poniosło. Tych, którzy ulegli naciskowi i wydali księgi, nazwano później "traditorami". — zdrajcami.

Wszystkie atoli te okrucieństwa nie przyniosły żadnego skutku. Dyoklecyan postanowił wydać nowy, ostrzejszy edykt. Czwarty edykt ukazał się w r. 314, dając Chrześcijanom do wyboru albo śmierć, albo zaparcie się wiary. Od wydania tego edyktu, prześladowanie wzmogło się do takiego stopnia, że nawet prześladowanie za Nerona zdało się być łagodnym. Urzędnicy cesarscy na prześcigi współzawodniczyli ze sobą w wymyślaniu najokrutniejszych muk w celu ostatecznego i zupełnego wytopienia Chrześcijaństwa. Krew męczeńska poleła się szerokim strumieniem i użyźniła niwę Kościoła Chrystusowego.

Urzędnicy, zda się, poszaleli od okrucieństwa. Co tylko wymyśleć mogli okrutnego, wnet stosowali to do muk. W rocznikach aktów męczeńskich z tego czasu czytamy, że wielu Chrześcijanom druzgotano nogi, innych zawieszano za nogi i smażono na wolnym ogniu, którego dym ich dusił; innych ścinano; innych mordowano stopniowem odżynaniem członków; innych zamykano w kościołach i domach, które oprawcy podpalali i w ten sposób dziesiątki Chrześcijan pozbawiali życia w ogniu.

Liczba ofiar była tak wielką, że często siły opuszczały oprawców przy wykonywaniu wyroków. Wśród męczenników nie brakło żadnego stanu, poczynając od najzamożniejszych i starców, kończąc na niewolnikach i niemowlętach. Lecz najwięcej było dziewic męczenniczek, wśród których znajduje się i św. Agnieszka.

W czasie prześladowania Chrześcijanie nie mogli stawiać kościołów, ani publicznie w nich sprawować obrzędów. Wyjątek tylko stanowiły ziemie pod rządami Konstancyusza Chlorusa, mianowicie Galia (dzisiejsza Francja), Hiszpania i Brytania, w których nie było żadnego prześladowania. W tych krajach cieszyli się Chrześcijanie zupełnym spokojem i z boleścią w sercu a łzami w oczach pa-

rzyli na tę krwawą burzę, która się srożyła w innych prowincjach państwa.

W Rzymie prześladowanie było okrutniejszym niż w innych częściach i miastach państwa. Chrześcijanie musieli się ukrywać ze swą wiarą nawet przed krewnymi i służbą. Wystarczyło najmniejsze podejrzenie, że ktoś jest Chrześcijaninem, aby go skazać na śmierć męczeńską. To też jak z wiarą tak i z praktykami jej Chrześcijanie musieli się ukrywać albo po domach prywatnych, albo w katakumbach.

W domu możnych i pobożnych rodziców św. Agnieszki w największej tajemnicy zgromadzali się wierni dla wysłuchania Mszy św. i zasilenia się Najśw. Ciałem Chrystusa Pana. Lecz wkrótce okazało się to bardzo niebezpiecznym; trudno bowiem przychodziło ukryć wiele ludzi przed okiem czujnych i szpiegujących pogan. Na nabożeństwa do domów dopuszczano tylko najzaufańszych i znanych ze stałości we wierze. Dla innych kapłani sprawowali św. obrzędy w katakumbach.

Katakumby są to podziemne ganki, idące w najprzeróżniejszych kierunkach. Po bokach w ścianach tych podziemnych galeryj chrześcijanie porobili groby, w których chowali szczątki pośmirtne męczenników św. Ganki tak się krzyżowały ze sobą, iż nieobeznany z nimi, gdy tam się dostał żywym już sam nie wyszedł; zabłąkał się i z głodu musiał umrzeć. W niektórych miejscach galerye rozszerzały się i tworzyły wielkie, podziemne izby, zwane kaplicami, do których małym otworem z góry dochodziło światło i powietrze. W takich kaplicach chowano znaczniejszych męczenników i tam zwykle kapłani na grobie męczennika odprawiali Msze św., udzielali wiernym Sakramentów św. Wejście do katakumb było zwykle tak urządzone, że tysiące pogan mogło przejść i przechodziło obok niego, nie spostrzegając takowego.

W czasie prześladowań św. Agnieszka została zaproszoną wraz z rodzicami na ucztę do swoich krewnych i przyjaciół. Choć serce swoje oddała już Niebieskiemu Oblubieńcowi i najmiłszemu jej zajęciem było słuchać Mszy św. już to w domu rodziców, już w katakumbach, jak również oddawać się miłosiernym uczynom; jednak, aby nie wzbudzić podejrzenia u pogan, **m u s i a ł a** wzięść udział w zabawie, naturalnie ubrana, jak zwykle bardzo pojedynczo i bez żadnych ozdób zewnętrznych, któremi pogardzała i za nic je sobie miała.

Ks. F. Ładoń.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POGADANKA NAUKOWA

Sól.

Niekiedy jednak znajdujemy wielkie bryły soli kamiennej i na powierzchni ziemi. Pod Kordoną

w Katalonii (Hiszpania) znajduje się olbrzymia skała przeszło 600 stóp wysokości i kilka mil w obwodzie. Wygląda ona jak wielki lodowiec, od którego jednak różni się smakiem i temperaturą. Podobne góry solne na powierzchni ziemi możliwe są tylko w krajach suchych. Gdyby w naszym kraju był taki olbrzym, to wilgoć, zawarta w powietrzu jakoteż i deszcze bardzo rychło by go rozpuściły. Podobne bryły soli rzadko gdzie znajdują się na powierzchni ziemi, wszystkim bowiem wiadomo, jak prędko topnieje sól pod wpływem wilgoci. To też wodę można uważać za największego nieprzyjaciela soli w stanie stałym: rozpuszcza ją i zabiera ze sobą. A ponieważ w każdym gruncie znajduje się zawsze pewna ilość soli więc i każda woda na ziemi zawiera w sobie sól. Zapewne czytelnicy zapytają, jak to może być, aby każda woda była słoną, przecież tyle jest wody i w jeziorach i w rzekach i w ziemi, która bynajmniej nie ma smaku soli, nie jest słoną. Dzieje się to w skutek tego, że jak już powiedzieliśmy, sól nie na każdym miejscu jest w dużej ilości, owszem z trudnością daje się odszukać, stąd też i we wodzie „słodkiej” rozpuszczoną jest w bardzo małej i nieznacznej ilości, tak, że w smaku wcale się nie daje odczuć.

Że istotnie tak może być i jest, czytelnicy łatwo mogą się przekonać z doświadczenia.

Jeżeli do szklanki wody wsypiemy łyżkę, lub więcej soli, woda będzie słona; ale jeżeli do takiej samej ilości wody wpuścimy odrobinę soli wtedy smakiem jej nie odczuwamy, chociaż ona tam jest. Toż samo możemy powiedzieć o „słodkich” wodach rzecznych i jezior jakoteż studziennych. Woda nabiera smaku słonego dopiero wtenczas, kiedy na 1000 jej części znajduje się przynajmniej jedna część soli. Nap. jeżeli na 1000 funtów wody znajduje się jeden funt soli. Przy mniejszej ilości sól nie odczuwa się. Żadna zaś woda źródłana, rzeczna lub z jeziora, używana do picia na tysiąc części nie zawiera jednej części soli, lecz zaledwie nieznaczną cząstkę. Tylko źródła słone, czyli tak zwane solankowe, zawierają znaczną ilość rozpuszczonej soli. Pochodzi to stąd, że woda tych źródeł wypływa z podziemnych pokładów soli, którą się nasycza tak, że niektóre źródła na tysiąc części wody zawierają aż sto części soli, t. z. prawie trzy razy tyle, co woda marska, w której zawartość soli nie przekracza 35 funtów na tysiąc, a często nawet mniejszą.

Nodał.

Mało zważaj na to, kto jest za tobą, albo przeciw tobie, lecz tak czyn i o to się staraj, aby Bóg był z tobą we wszystkim, co czynisz.

(Tom. a Kemp).

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyi: **MACIERZ POLSKA,**
31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna w nosi \$1.00. — Po edynocy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ct.Adres administracyi: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE

issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

NOWY PŁASZCZYK.

Nowy płaszczyk mam!..
Wnet pokażę wam!
Cudny mama mi wybrała,
Długo w sklepie przebierała..
Patrzcie, proszę! co za moda!
Aż go ubrać nawet szkoda.
Piękniejszego niema już —
Któż zaprzeczy — proszę któż?
Piękny płaszczyk to rzecz miła,
Będiesz się nim też cieszyła.
Będiesz mamie dziękowała,
Lecz gdzie płaszczyk, coś go miała?
Jeszcze dobry, choć za krótki.
Jeszcze ciepły, choć malutki,
Lecz dla Kazi z oficyny
Przewyborny i jedyny.
Daj go biednej, rączką własną,
Gdy sierotka się zagrzeje
Płaszczyk nowy poładnieje.

Jadwiga S.

DZIELNY CHŁOPIEC.

Było to w połowie lipca. Siedziałem wcześniej z rana przy biurku, zajęty pisaniem, gdy weszła służąca, zawiadamiając, że jakiś chłopiec czeka na mnie w przedsionku, i koniecznie chce mnie widzieć.

“Jak się nazywa?” zapytałem.

“Nie wiem, bo mi nie powiedział swego nazwiska”, odrzekła. Czy mam go odprawić, mówiąc że pan nie ma czasu? dodała.

“Dobrze, niech poczeka trochę”, odpowiedziałem. Co prawda, byłem bardzo zajęty i nie miałem wielkiej ochoty oderwać się od pracy. Po namyśle jednak wyszedłem do przedsionka, gdzie mały mój interesant siedział, przypatrując się kopii obrazu bitwy pod Grundwaldem, Matejki.

Na mój widok chłopiec zerwał się z krzesła, grzecznie się uklonił i pozdrowił mnie, mówiąc „dzień dobry”. Chłopczyk był smukły, twarzy bardzo przyjemnej, wesołych oczów, które śmiało, ale bez arogancji patrzyły na mnie. Ubrany był w czarny żakiet, widać dosyć już długo noszony, ale nie podarty, ani nie poplamiony i ze wszystkimi guzikami. Trzewiki miał oczyszczone. Cała postawa i zachowanie się chłopca bardzo miłe i korzystne zrobiły na mnie wrażenie. Ciekawy też byłem, co za interes mógł mieć do mnie. Chciałem już zapytać się o to, gdy sam z największą swobodą, patrząc mi prosto w oczy, powiedział:

“Przepraszam bardzo pana, że tak wcześnie przeszkadzam mu; szukam jakiegokolwiek pracy i myślę, że u pana ją znajdę.”

“Nie wiem, mój chłopcze, jaką pracę mógłbyś u mnie znaleźć, bo ja oprócz kucharki nikogo więcej nie zatrudniam.”

“Jeżeli pan będzie łaskaw chcieć mi dać pracę, to ona napewno się znajdzie.

Przechodząc obok domu pańskiego, zauważyłem, że trawa w ogrodzie wyrosła już wysoko: jeżeli więc pan pozwoli, to ją zetnę.”

“To prawda, odpowiedziałem zdziwiony, trzeba ją już ścinać bo jest duża i zniszczy się, jeżeli nie będzie rychło skoszona, ale ty, chłopcze, jesteś za słabym, żebyć mógł cały trawnik skocić. Nie wyglądasz na mocnego, a sądzę, że to zabierze cały dzień.”

“Tem lepiej”, odpowiedział żywo, jakby się obawiał, żebym mu nie odmówił. “Jeżeli pracować będę cały dzień, zarobię więcej. Być zaś może, że jestem silniejszy, niż się na pozór wydaje. Niech pan spojrzy, jakie mam muskuły!” Tu chłopiec zgiął jedną i drugą rękę chwając się swemi muskułami, które, jak zwykle u dzieci w tym wieku, są słabe i nie wyrobione, jemu atoli zdały się być tak silne i wyrobione, jak u kowala.

“Powiedz mi, chłopcze, rzekłem, patrząc mu prosto w oczy, co cię skłoniło szukać sobie pracy? Teraz wakacje, chłopcy po szkolnych trudach wolą odpoczywać i zabawiać się, a ty szukasz pracy.”

“Proszę pana, siostra nauczycielka w klasie bardzo często nam mówiła, że Pan Bóg stworzył człowieka do pracy i że trzeba się starać być pożytecznym i pomagać rodzicom w domu, gdy nie idziemy do szkoły. Ojcu mojemu, bardzo trudno przychodzi utrzymać całą rodzinę; zarabia mało, a oprócz mnie, najstarszego, jest w domu jeszcze

pięcioro młodszego rodzeństwa. Ojciec musi płacić za szkołę, książki, zeszyty i za wszystko. Teraz wakacje, więc chciałbym pomóc ojcu. Miałem okazję jechać na farmę, gdzie przez wakacje dawno by mnie utrzymali, ale pomyślałem sobie, że lepiej będzie, pozostać w domu, bo i matce często posłużyć i coś zarobić mogę.”

Prostota i szczerść chłopca bardzo mi się spodobały. Polubiłem go i postanowiłem mu dopomóc.

“Dobrze więc chłopcze, spróbuj swojej siły na mojem trawniku, powiedziałem. Służąca da ci maszynę i sierp; uważaj tylko, abyś mi drzewek małych nie pokaleczył i kwiatów nie pościął. A jeżeli będziesz widział, że to za ciężko dla ciebie, to daj pokój.”

“Dziękuję bardzo panu za pracę. O drzewa i kwiaty może pan być spokojny. Proszę tylko, aby mi służąca wydała maszynę, sierp i grable. Postaram się wszystko zrobić jak najlepiej i spodziewam się, że pan będzie zadowolony z mojej pracy.”

Przywołałem służącą, kazałem jej wydać chłopcu maszynę do ścinania trawy, sierp, grabie i taczki do zbierania skoszonej trawy i poszedłem do pokoju. Przez okno widziałem, jak mały pracownik zdjął zakieciak, kołnierzyk, krawatę i, zawieszszy je na drzewie, rozpoczął ścinać trawę.

Siedząc przy biurku ustawicznie słyszałem trekotanie maszyny. Chłopak pracował. Dzień stawał się coraz bardziej gorętszy. Wyjrzałem oknem. Chłopiec czerwony, jak burak; spocony ściał już większą część trawnika. Zbliżało się południe. Wyszedłem do ogrodu.

“Jak daleko stąd mieszkasz?” zapytałem.

„Mieszkam dosyć daleko, bo na N. ulicy,” odpowiedział, przestając kosić.

“W takim razie nie potrzebujesz iść do domu na obiad, będziesz jadł ze mną.”

“Dziękuję, ale nie chciałbym panu robić kłopotu” odpowiedział.

“Nie będzie żadnego kłopotu, zjesz ze mną obiad i zrobisz mi tem przyjemność. Inaczej musiałbym sam jeść,” odrzekłem.

“Jeżeli tem zrobię przyjemność panu, wtenczas pozostanę, mama pomyśli, że gdzieś pracuję i nie mogę przyjść na obiad.”

„Dobrze więc, teraz już odpocznij sobie.”

Po kwadransie mniej więcej kucharka oznajmiła, że obiad czeka na stole i zawołała chłopca. Przeszedł do stołu z rękami i twarzą czysto umytemi, nie znać po nim było, że przed krótkim czasem pracował. Przed jedzeniem pobożnie się przeżegnał, odmówił krótką modlitwę i usiadł prosto i skromnie przy stole. Zachowanie się jego podczas obiadu było bardzo wzorowe. Jadł powoli, bez

mlaskania, żadnej potrawy pierwszy nie tknął. Po obiedzie przeżegnał się znów i odchodząc od stołu, grzecznie się uklonił, mówiąc: “dziękuję panu za obiad.” Zachowaniem swoim pokazał mi, że choć ubogi, jednak jest dobrze wychowany. Już go polubiłem.

Siedząc w pokoju zajęty znów czytaniem gazety wnet usłyszałem trekotanie maszyny. Chłopak pracował.

Była godzina czwarta. Ktoś zapukał do drzwi mojej pracowni. “Proszę”, odpowiadam. Otworzyły się drzwi i wszedł mój mały robotnik.

“Może pan zechce obejrzeć trawnik, już bowiem skończyłem, powiedział mi, uśmiechając się.

Wyszedłem do ogrodu.

“Prawda, że ładnie zrobiłem? zapytał, patrząc mi w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, czy zgadzam się na jego mniemanie o swojej pracy.

Obejrzałem cały trawnik, który był równiutko obcięty, trawa zgrabiona, ani jedno drzewko nie było skałeczone; kłoby i rogi trawnika ładnie oczyszczone. Ogrodnik lepiej nie mógłby zrobić.

“Bardzo ładnie zrobiłeś, odrzekłem, jestem zadowolony z pracy.”

“A widzi pan!” odrzekł wesoło. Powiedziałem, że postaram się tak zrobić, aby pan był zadowolony i nie żałował, że dał mi pracę i dotrzymałem słowa. O, bo ja, proszę pana, staram się zawsze dotrzymać to, co obiecuję”, dodał przybierając bardzo poważną minę.

“Bardzo to pięknie, że zawsze starasz się dotrzymać słowa. Sam się przekonałem, iż rzeczywiście tak jest. Ileż ci się należy za pracę?”

“Jeżeli panu nie wyda się to wiele, proszę o 50 centów”.

Zapłaciłem. Zauważyłem przytem, że pieniądze nie sprawiły mu wielkiej przyjemności. Zapytałem więc:

Nie cieszysz się z zarobku? może za mało żądałeś, ja nie mam zwyczaju dawać więcej, niż odemnie żądają?”

“Owszem zarobek mnie cieszy, odpowiedział chłopiec, lecz więcej cieszy mnie to, że pan jest zadowolony z mojej pracy. Widzę, że mogę być użytecznym i sobie i innym. Rodzice się ucieszą, gdy im oddam pół dolara.”

Ta odpowiedź bardzo mi się podobała. Chłopiec, nie myśląc o tem, odkrył całą szlachetność swej duszy: pieniędzy nie uważa za rzecz najważniejszą, ale pracę i sumienne jej wykonanie dla korzyści innych. Czyż może być coś piękniejszego nie tylko w dziecku, ale i w człowieku. Wszak go Bóg stworzył do pracy; do pracy dla Boga, dla siebie samego i dla bliźnich. Moralna zaś wartość człowieka zależy właśnie na sumiennosci w wykonywaniu pracy. Tę sumiennosc pokazał mój chło-

piec. Postanowiłem zawrzeć bliższą znajomość z nim i, o ile potrzeba pomagać mu. Jeżeli wytrwa w swojej szlachetności, będzie człowiekiem dzielnym. Przypomniłem sobie, że przed dwoma dniami jeden z moich przyjaciół, bogaty przemysłowiec, który własną pracą i sumiennością dorobił się wielkiego majątku, że ten zapytywał się mnie, czy nie znam jakiego chłopca, któremu możnaby zaufać, ponieważ ma dobre miejsce w swoim offisie dla takiego na czas wakacyjny. Bez namysłu postanowiłem mojego chłopca polecić kupcowi.

“Mój chłopcze, rzekłem, dotąd nie powiedziałaś mi twego imienia i nazwiska. Może będziesz tak dobrym i powiesz mi je teraz.”

“Nazywam się Julian Polski,” odpowiedział kłaniając się.

“Otóż, mój Julku, czy nie chciałbyś mieć czasem stalszej pracy na czas wakacyjny, niż ścinanie trawy. Trawy codzien nie można ścinać, zresztą za dużo musisz tracić czasu, szukając, gdzie byłaby trawa do ścięcia. Ja może mógłbym ci nastreczyć korzystniejszą pracę, nie powiem lepszą, bo każda praca jest dobrą sama w sobie, ale odpowiedniejszą do twego wieku.”

“Będę bardzo wdzięczny panu i na zawsze obowiązany za jego uprzejmość,” odpowiedział z wesołym obliczem i uśmiechem.

“To i dobrze. Rzecz załatwiona; przyjdź jutro punkt o pół do ósmej, pójdziemy do ofisu pana R., któremu cię przedstawię.”

“Dziękuję panu. Ach jak się to rodzice ucieszą. Przez całe wakacje będę im mógł pomagać. Jutro punkt o naznaczonej godzinie przyjdę do pana. A teraz dowidzenia panu.”

Na drugi dzień kilka minut przed naznaczonym czasem chłopiec się stawił. Zaprowadziłem go do ofisu mojego przyjaciela, który, spojrzawszy badawczym wzrokiem na Julka, po krótkiej chwili namysłu powiedział:

“Przyjmuję tego chłopca.”

Julek został w ofisie, ja poszedłem załatwiać moje interesa.

Po tygodniu spotkałem mego przyjaciela

“Jak się sprawuje mój protegowany?” zapytałem.

“A, bardzo dobrze: pilny, pracowity, systematyczny i regularny jak zegarek. Lepszego chłopca nie mogłem mi pan nastreczyć. Jestem bardzo zadowolony z niego. Gdyby wszyscy moi pracownicy byli takimi, spałbym spokojnie. Podwyższyłem mu już o dolara zapłatę. Dziękuję panu za niego.”

Ucieszyłem się, jak gdyby mnie samego pochwalili. Byłem przekonany, że ten mój chłopiec będzie dzielny człowiekiem. Że na Julku nie zawio-

dłem się, przekonają się młodzi czytelnicy, gdy poznają dalsze losy mojego chłopca.

Nota.

CO ROBIŁY NIEDŹWIEDZIE W ZIMIE.

Zaledwie pierwsze mrozy nastały — a było to w początku listopada — para niedźwiedzi, mieszkająca w głębokim lesie, postanowiła zaopatrzyć się w ciepłe zimowe schronienie.

Jakkolwiek niedźwiedź jest napozór niezgrabny i rubaszny — to przecież pomyślał naprzód o wygodzie swej małżonki, a potem dopiero troszczył się o siebie.

Wyszukali zatem wygodną, niewielką grotę w skale, która miała służyć za zimową sypialnię pani niedźwiedzicy.

Niedźwiedzica wyczyściła ją starannie; wyrzuciła z niej błoto, ziemię i wszelkie śmiecie, a natomiast zniosła cienkie i miękkie gałązki, chrust, siano, mech, i uścieliła z nich wygodne łoże.

Gdy już łoże było usłane, niedźwiedź rzekł:

— Brama twego mieszkania jest za wielką, będzie wiało i zziębnieś bardzo. Musimy ten otwór trochę zmniejszyć.

I zaczęto znosić ziemię, glinę — i zamurowano szyję wejścia — zostawiono tylko wąski otwór, którym z wielkim trudem niedźwiedzica zdołała do wnętrza się wcisnąć.



— Dobrze ci tam? — zapytał niedźwiedź.

— Wybornie — odparła małżonka — ale ledwie dostałam się do wnętrza, a jak wydobęde się stąd na wiosnę?

— Nie obawiaj się; uderzysz silnie łapą kilka razy, a glina, zalepiająca otwór, odpadnie.

— Bądź zdrow — rzekła niedźwiedzica — do widzenia na wiosnę!

— Bądź zdrowa; ale masz tu jeszcze gałęź, zasłoń nią otwór od środka, ja drugą zakryję cię ze zewnątrz, aby wiatr, deszcz i śnieg nie dostały się do twojej sypialni.

I zatkali starannie otwór. Szczeliny między gałęziami założyli mchem. Teraz mogła szaleć zawięja, niedźwiedzica była bezpieczną.

Po odejściu męża zwinęła się w kłęb, głowę schowała między przednie łapy — i ułożyła się do długiego snu zimowego. Ale niedźwiedź nie przędko jeszcze wyszukał sobie schroniska na zimę, już żona jego oddawna spała smacznie, już i śniegi spadły, grudzień się rozpoczął, a on ciągle wałęsał się po okolicy, szukając bezpiecznego ukrycia.

Nareszcie znalazł był bardzo dogodne schronisko, ale gdy zaczął sobie łożę wyścielać, spotkał parę razy ślady stóp ludzkich.

— Hm... pomyślał — ludzie to bardzo niebezpieczne istoty, bo choć nie mają kłów, rogów ani pazurów — mają natomiast stokroć gorsze strzelby i kule. Nie można im nigdy dowierzać, lepiej wyszukać innego schroniska.

W końcu znalazł wygodny głęboki pień grubego starego drzewa.

Trudno była znaleźć coś lepszego — otwór był niewielki i zwrócony ku stronie południowej, był zatem ukryty przed zimowymi wiatrami. Śladów ludzkich nigdzie ani znaku. Postanowił więc tu ułożyć się do snu zimowego.

Wyścielił więc sobie łożę, ale co prawda nie tak wygodne jak jego małżonce, bo to zwykle i u ludzi i u zwierząt tak bywa, że rodzaj żeński jest zręczniejszy. Ale że niedźwiedź nie jest zbyt wybrednym stworzeniem, więc zadowolnił się niedbale zaścielonem łożem, zwłaszcza, że był już grudzień, więc bardzo mu się spać chciało — i jakoś dziwnie osłabł.

Zwinął się tedy w kłębek, zasnął i śpi sobie spokojnie.

Śnieg zasypał całe drzewo, ludzie nawet rąbali sąsiednie choinki na drzewa świąteczne — ale on nic już nie słyszał, o niczem nie wiedział. I jeśli nie potrzebuje — a zbudzi się dopiero na wiosnę.

L. M.

Kto ceni rzecz każdą podług tego, czem jest w stocie, nie zaś podług tego, jak ludzie ją szanują, lub o niej mówią ten jest prawdziwie mądry; a mądrość jego więcej od Boga, jak od ludzi pochodzi.

(Tom. a Kemp.)

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA.

Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Kocham moją ziemię, bo piękną jest, gdy wiosna ustroi świeżą zielenią jej łąki i gaje, gdy białe dzwoneczki wśród mchów leśnych rozwinie i niebieskie pierwiosnki powoła do życia; kocham ją, gdy słowicze głosy rozlegną się w lasach, a na łąkach zadzwonią piosenki skowronków. Kocham również gorąco moją rodzinę. Ojciec mój lubo posiadał władzę nieograniczoną nad całym siołem, tak był łagodny, że nie pamiętam, aby kogo śmiercią ukarał. Braci miałem kilku, znacznie starszych od siebie. Ci uczyli mnie jeździć konno, strzelać z łuku, ścierać się na miecze. Dnia jednego, a pamiętny mi ten dzień zawsze będzie, siedm lat wówczas skończyłem ojciec postanowił odbyć moje postrzyżyny. W plemienu naszym istnieje zwyczaj, że gdy chłopiec skończy lat siedm, w dzień ten ojciec poraz pierwszy obcina mu włosy i nadaje imię, poczem zabiera go z pod opieki matki pod swoją. Sprosiwszy gości na ową uroczystość, ojciec powiódł nas wszystkich pod wielki dąb w pobliżu chaty rosnący i siadł z ojcami rodzin na ławie. Było to latem. Dąb szumił wesoło, pokryty bogato liśćmi, tłum ptactwa świergotem radosnym napełniał powietrze, słońce rozlewało szczerze ciepłe promienie po zieleni. W pobliżu stał ceber z wodą, przy nim skupiły się moje siostry. Pięć ich było, wszystkie młode i piękne, wszystkie białe odziane, w rucianych wiankach na rozpuszczonych włosach do pasa. Młodzież stanęła naprzeciw dziewcząt również świątecznie przybrana.

Ramiona wszyscy mieli obnażone, stopy bose, włosy do ramion sięgające.

Starsze niewiasty pomogły matce przybrać mnie do uroczystości: długie moje włosy wymyły starannie, nałożyły na mnie białą lnianą szatę, poczem do ojca pod dąb przyprowadziły. Idąc, mruczały jakieś zaklęcia, a może modlitwy.

Ojciec, ujrawszy nas, podszedł blisko, ujął mnie za rękę i donaczynia z wodą poprowadził. Tam dłoń umoczył w wodzie, skropił bujne włosy i rzekł: „Zwać cię będę od dziś Staborem, nie chłapięciem, rośnij bogom na chwałę, ludziom na pożytek”.

Poczem rozpostarł ramiona nademną i uodlił się chwilę do bogów. Gdy skończył, jedna z sióstr podała mu nożyce, on przystrzygł mi włosy nad czołem, potem resztę do ramion i ucięte oddał matce która zwinawszy je starannie, schowała, aby spalić, bo jest u nas przekonanie, że gdyby nie spaliła, choroby mogłyby mnie prześladować całe życie.

Po skończonym obrzędzie postrzyżyn siostry otoczyły mnie wiankiem i tańcząc w około, nuciły

pieśń stosowną, życząc, abym urósł duży jak dąb, a silny jak orzeł karpacki.

Jam, słuchając tych pieśni, marzył o przyszłości, kiedy będę mógł dosiąść konia i włóczyć w dół nie schwycić.

Gdy pieśni ucichły, ojciec zbliżył się znowu do mnie i powiódł na mogiły przodków. Matka szła tuż za nami z naczyniem pełnym jadu i dzbanem miodu. Ojciec zatrzymał się najpierw przy mogile pradziada, matka podała mi dzban i naczynie z jadem. Jam rzucił trochę jadu i miodu rozlałem na mogiłę poczem ojciec opowiedział mi o walecznych czynach pradziada. Następnie obeszlśmy inne groby, wszędzie złożyłem ofiarę i słuchałem o pięknych czynach moich przodków: słynęli odwagą, rozumem, sprawiedliwością.

Właśnie wracaliśmy z żalnika, to jest z mogiły przodków do gości, zebrany pod dębem, gdzie młodzież bawiła się wesoło, a zicwczęta pieśni nuciły, gdy naraz dobiegł uszu moich krzyk przeraźliwy. Zrazu zrozumieć nie mogiem, co to znaczy, lecz po chwili pochwyliłem dwa wyrazy, które powiedziały mi wszystko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zadania i Zagadki.

Odpowiedź na pytanie nr. 2.

Kazimierz III Wielki, król polski, otrzymał przydomek „Króla chłopków”. Bo też sprawiedliwie otrzymał tę nazwę. Kmieć polski i ruski, nie znał nad niego lepszego opiekuna, i sprawiedliwszego sędziego. Możnych panów, którzy szkody czynili kmiotkom, karał surowo. Sam przebrany za dziada, chcąc się dowiedzieć o krzywdach, chodził do chat wieśniaczych. Zdarzyło się, iż trzymał do ciężaru dziecko ubogiego kmiotka. A było to tak: Pewnego dnia Kazimierz przebrany za dziadka prosił o gościnę ubogiego kmiotka, mającego siedm synów. Kmiotek podzielił się chętnie z Kazimierzem tem, czem miał. W nocy narodziło mu się ósme dziecko. Kazimierz obiecał zostać chrzestnym ojcem dziecka, i w oznaczony dzień się stawić. Nadszedł dzień oznaczony, a dziadka jak niema, tak niema. Kmiotek chciał już zawołać innego kuma, aż tu nagle ukazuje się wspaniała karetka i wiele innych i zatrzymują się przed domem kmiotka. Kmiotek patrzy zdziwionymi oczami. Drzwiczki od karety się otwierają, a z niej wysiada Kazimierz. Kmiotek jeszcze więcej osłupiał, ale synek mu szepnął. „Tatulu, toż to ów dziadek, który tu był przed kilku dniami.” Słyszcząc to kmiotek, rzucił się do nóg króla, zrozumiałwszy wszystko. Kazimierz łaskawie go podniósł i kazał mu wsiąść do swojej karety. Kmiotek opierał się, lecz w końcu uległ. I wszyscy pojechali do kościoła. Kazimierz obdarzył hojnie kmiotka, dał mu kilka łanów ziemi. Synek nowonarodzony został później księdzem.

Czyż nie zasłużył król Kazimierz na przydomek „Króla chłopków?”

Starajmy się wstępować w jego ślady i nie gardzić uboższymi i niższymi.

Jan Burda,

Ucz. VII kl. szk. św. Stanisława Kostki.

Odpowiedź na pytanie nr. 2. Po śmierci dzielnego Króla Łokietka, który przywrócił dawny blasko koronie Chrobrego, wstąpił na tron polski syn tego bohatera, Kazimierz, zwany Wielkim. Panował lat 37. Był on bardzo sprawiedliwym monarchą, dobrym gospodarzem, prawodawcą i krzewicielem oświaty, a przede wszystkim obrońcą i prawdziwym ojcem kmieci, których bronił przed uciskiem możnowładców i warchołów. Kazimierz W. starał się zapobiedz nadużyciu możnych; ohośnie słuchał skarg i próśb włościan. Winnych przestępstw nie uwolnił od kary ani ród, ani urząd, ani bogactwa, jak tego mamy dowód na śmierci magnata, lecz wielkiego warchoła, Maćka Borkowicza, którego, gdy nie chciał słuchać ani króla, ani praw, w wieży Olsztyńskiego zamku zamurowano, gdzie z głodu umarł. Kazimierz W. bardzo często przebierał się za wieśniaka i tak przebrany chodził wśród kmieci, aby naocznie przekonać się o ich potrzebach i czy nie są ciemiężeni.

Znaną wszystkim jest powieść o jego kumotrach w wieśniaku Trzaski. Szlachta i magnaci uszczypliwie nadebrali Kazimierzowi W. przydomek „Króla chłopków”. Przydomek ten nie przyniósł ujmy wielkiemu królowi, owszem, szczylił się nim i lubiał gdy go tak nazywano. Kazimierz Wielki umarł 5 listopada 1370 r. Zwioki jego złożone w katedrze krakowskiej, gdzie wystawiono też i pomnik. Po jego śmierci wygasł ród Piastów po mieczu. Ród ten panował w Polsce przez 500 lat.

Piotr Tempiański,

Uczeń VII klasy ze szkoły św. Stanisława K. w Chicago.

Pytanie. Co oznacza uroczystość zwana „rękawką” gdzie się ona odbywa?

Zagadka arytmetyczna.

Ojciec pewien zapytany,

Liczyż zastęp ukochanej

Działwy w domu swoim chowa?

W te mniejwięcej odrzekł słowa:

— Wszak to rachunku watek,

Z mych dziewczątek, niebożątek,

Każda trzykroć mniej, mój Boże,

Siostr, niż brać, zliczyć może.

Każdy z męskiej zaś mej dzicy

Siostr i brać równo liczy.

Rozwiązanie zagadki nr. 2.

H
L E N
K O R E K
S O K
D

Odpowiedzi Redakcyi.

Piotr Ugorek ze szkoły św. St. K. w Chic. Rozwiązanie zadania dobre. Należy pisać na jednej stronie papieru. Po polsku mówi się: przebrany za dziadka, a nie „przeobleczonego w dziadka”.

Rozalia Wasiak ze szkoły św. St. B. M. w Chic. Odpowiedź na pytanie dobra i starannie napisana, ale zbyt gólnikowa.